

PROLOG

Zimno było pierwszym, co poczuła.

Nie to zimno z zewnątrz — deszczu, wiatru, mokrego bruku. To było zimno od środka, jakby ktoś wlał jej w żyły wodę ze studni, która nigdy nie widziała słońca.

Otworzyła oczy. Ciemność nie ustąpiła.

Leżała na betonie. Nadgarstki piekły od sznura, ale węzeł był luźny. Zbyt luźny. To była zachęta.

Gdzieś nad głową — kroki. Ciężkie, pewne, odmierzające czas jak wahadło zegara, który wybija ostatnie minuty.

Potem głos. Spokojny, kontrolowany, taki sam jak podczas zebrań, kiedy mówił o „potencjale” i „możliwościach”. Zawsze z uśmiechem, który nie docierał do oczu.

– Masz jeszcze czas się zastanowić. Nikt cię nie skrzywdzi. Chcemy, tylko żebyś zrozumiała.

Kłamstwo, pomyślała. Każde słowo kłamstwo.

Rozplątała ręce. Skóra pokaleczona sznurem — cienki pasek czerwieni na białym nadgarstku. Nie poczuła bólu. Adrenalina zamieniła ciało w maszynę, która miała tylko jeden cel: przetrwać.

Drzwi były metalowe, zardzewiałe, ale klamka ustąpiła z cichym jękiem. Za nimi korytarz — niski, zwarty, z sufitem, który opadał stopniowo, jakby budynek chciał ją połknąć. Pod stopami piach wymieszany z resztkami czegoś, co kiedyś było izolacją. Zapach zmieniał się z każdym krokiem — z betonu na coś bardziej ziemistego, organicznego, żywego i martwego jednocześnie.

Schody prowadzące w górę były po prawej. Wiedziała, że tam na nią czekają. Wybrała lewo. W dół.

Biegła.

Korytarz skręcał, opadał, zwęzał się jak przełyk. Mijała ślady starych mocowań na ścianach — puste haki, zardzewiałe rury wychodzące z betonu jak żyły przeciętego ciała. Gdzieś kiedyś była tu instalacja, coś technicznego, coś, co miało sens. Teraz został tylko labirynt dla szczurów.

Za sobą usłyszała uderzenie metalu o framugę drzwi.

I kroki. Szybsze niż przedtem.

– To nie ma sensu.

Głos był bliżej. Odbijał się od ścian, mnożył, jakby korytarz sam go powtarzał.

– Wiesz, że nie ma dokąd uciec.

Nie. To nieprawda. Zawsze jest dokąd uciec.

Dotarła do zawalonego odcinka — betonowe gruzu, wąski przesmyk między ścianą a odpadem. Przecisnęła się bokiem, kamień zdarł skórę na ramieniu, ale nie zatrzymała się. Po drugiej stronie korytarz rozszerzył się na moment, jakby budynek brał oddech przed ostatnim słowem.

Ślepa uliczka.

Komora. Niska, z ceglanym sklepieniem, wywietrznikiem w suficie, zakratowanym, zamurowanym od lat. Metalowe wsporniki wzdłuż ścian, pokryte rdzą jak strupami. Nie było drugiego wyjścia. Tylko zardzewiała rura wychodząca z betonu w rogu i nisza techniczna przy ścianie, zbyt wąska.

Światło latarki przecięło ciemność korytarza za nią.

Sięgnęła do szyi. Chustka — jedwabna, z haftowanym monogramem. Do stała ją od niego, dawno temu, kiedy jeszcze wierzyła, że istnieją miejsca bezpieczne. Ściągnęła ją i wcisnęła w zagłębienie w niszy przy rurze.

Jeśli ktoś tu kiedyś trafi... niech wie, że tu byłam.

Sylwetka pojawiła się w otworze korytarza.

– Szkoda.

Głos był teraz zmęczony. Rozczarowany wynikiem eksperymentu.

– Naprawdę szkoda. Miałas potencjał. Mogłaś być jedną z nas.

Cofnęła się. Plecy uderzyły o zimną cegłę. Kamień był szorstki, jedyna pewna rzecz w tym miejscu.

– Wystarczyło powiedzieć „tak”. Tylko tyle. Współpraca. Zaufanie. To nie jest takie trudne.

Zrobił krok w jej stronę.

– A teraz...

Nie dokończył.

Uderzyła pierwsza. Nie w twarz — nie dosięgła. W wyciągniętą rękę, która miała ją chwycić. Paznokcie wbiły się w wierzch dłoni, głęboko, do krwi, ciągnąc przez skórę jak przez papier.

Usłyszała syk bólu. Krótki, ostry, zaskoczony.

– Suka!

Chwycił ją za ramię, szarpnął. Wyrwała się, odepchnęła, pobiegła ku korytarzowi — jedynej drodze, jedynej szansie.

Ale on był szybszy.

Złapał ją za włosy, pociągnął do tyłu. Świat zawirował. Upadła na kolana, podniosła się, kopnęła. Trafił ją w żebra — cios nie był mocny, ale wystarczył, żeby straciła równowagę.

Wyrwała się jeszcze raz. Ostatkiem sił. Pobiegła.

Korytarz był ciemny.

Nie widziała, gdzie stawia stopy. Nie widziała gruzu, przez który przed chwilą się przeciskała. Potknęła się. Ręce wyciągnięte do przodu, próbując złapać równowagę, złapać cokolwiek.

Nie zdążyła.

Upadła do przodu. Uderzyła głową o krawędź czegoś bardzo twardego.

Dźwięk był głuchy. Mokry. Ostateczny.

Cisza.

Latarka oświetliła nieruchome ciało. Krew — ciemna, gęsta — rozlewała się na piachu i izolacji, wsiąkając w podłogę, która widziała już niejedną tajemnicę.

Przez długą chwilę stał bez ruchu. Patrzył.

To nie miało się tak skończyć. Nie lubił, gdy coś nie szło po jego myśli. Nie był do tego przyzwyczajony.

Przekleństwo, ciche, przez zaciśnięte zęby.

Wyciągnął telefon. Wybrał numer.

– Mamy problem.

Pauza. Słuchał. Głos po drugiej stronie był spokojny, rzeczowy, jak zawsze.

– Tak. Ten. Wypadek. Niech ktoś przyjedzie. I niech zabierze... sprzęt do sprzątania.

Rozejrzał się po komorze. Wzrok przesunął się po ścianach, po niszy przy rurze. Ale było ciemno, a on się spieszył. Nie zauważył chustki wetkniętej głęboko w szczelinę.

Odwrócił się. Odszedł. Kroki odbiły się echem od ścian i zamilkły.

ROZDZIAŁ 1

MOJE MIASTO NIEZNOŚNE

– Nasłuchujcie, bracia i siostry. Nasłuchujcie uważnie, bo ta częstotliwość nie jest dla śpiących snem sprawiedliwych. To przekaz dla tych, którzy w środku nocy wpadają na sufit, pytając: Czy tylko ja widzę, jak to wszystko się rozpada? Otóż nie — nie jesteś sam. Po drugiej stronie radia ktoś też słyszy, jak rzeczywistość zgrzyta niczym rura w starym mieszkaniu. Jeśli nie możesz zasnąć — to dobrze. To znaczy, że jeszcze nie umarłeś.

Kapsel, audycja „Między ciszą a szumem”

Radio Greyline 104.3 FM sączyło muzykę, a raczej jej cień — zniekształcony pogłos, w którym ledwo można było rozpoznać dawny hit. Głos prowadzącego, Kapsła, brzmiał, jakby dopiero co ocknął się na ławce w parku, z bólem głowy i kacem egzystencjalnym.

– Jeśli piekło istnieje — mruknął — to na pewno ma płytki gresowe i zimne światło LED. A teraz coś, co kiedyś było Dire Straits...

Dawid uniósł brew, nie odrywając wzroku od kubka z kawą. Lubił ten program. Greyline był jedynym radiem, które nie udawało, że świat to różowa, sterylna bańka. Kapsel prowadził audycję z piwnicy albo kuchni — zależnie od tego, gdzie akurat działał czajnik. Był irytujący, sarkastyczny, ale przynajmniej szczery. Jak sąsiad, który pożycza cukier i od razu ostrzega, że nie odda.

Pracownia pachniała kawą, farbą i wilgocią. Zaparowane szyby okien przepuszczały tylko rozmyte światło poranka. Na ścianach wisiały obrazy — niektóre jego autorstwa, niektóre znalezione na targach staroci. Olejny portret

psa w kapeluszu kołysał się lekko, mimo że Dawid od dawna nie próbował go prostować.

W kącie zasyczał Ludwig — rudy kocur o pazurach ostrych jak komentarze na forach internetowych. Kot należał niegdyś do sąsiadki, która odeszła, pozostawiając go w spadku światu. Dawid przygarnął go w chwili słabości, licząc na odrobinę wdzięczności. Oczywiście, przeliczył się.

Pani Irena zmarła kilka miesięcy temu — w swoim fotelu przy oknie. Znaleźli ją dwa dni później — głównie dzięki Wandzie, która zauważyła, że nie pojawia się już na podwórzu z miską kocięj karmy. Pogrzeb był skromny, jak przystało na samotną emerytowaną nauczycielkę. Przyszło może dziesięć osób — głównie sąsiedzi z kamienicy i dwie koleżanki z dawnej pracy. Pan Józef z pierwszego piętra pojawił się w garniturze z lat osiemdziesiątych, który pachniał naftaliną i emanował zaprzęszłą elegancją. Wanda płakała dyskretnie, trzymając w ręku jedną z książek, którą pożyczyła od zmarłej. Dawid stał z boku, czując się jak intruz na prywatnej ceremonii. Ksiądz mówił ogólnie o życiu, o służbie, o pamięci. Standardowy zestaw pocieszających kłamstw. Nikt nie wspomniał, że pani Irena karmiła bezdomne koty przez dwadzieścia lat ani że знаła na pamięć wiersze Miłosza i recytowała je swojemu rudemu pupilowi podczas długich zimowych wieczorów. Po wszystkim, gdy rozchodzili się już sąsiedzi, Ludwig podszedł do Dawida i usiadł mu na butach. Nie na butach Wandy, która przynosiła mu jedzenie od tygodni. Nie przy panu Józefie, który czasem go głąskał na klatce schodowej. Właśnie przy Dawidzie, który nigdy się do niego nie odzywał.

— No i co teraz, kumplu? — mruknął tamtego dnia, patrząc na kota. — Zostajemy razem w tym szaleństwie?

Ludwig mruknął raz i poszedł za nim do mieszkania. Od tego czasu mieszkali we względnej harmonii, co oznaczało, że kot ignorował Dawida z godną podziwu konsekwencją, a Dawid kupował mu żarcie i czyścił kuwetę.

— Nie patrz tak na mnie, futrzaku — burknął. — Najpierw ludzie, potem ty.

W kuchni, a raczej wąskim aneksie, zagotował wodę. Wyjął z lodówki jajka i szynkę. Jego poranny rytuał był niezmienny: jajecznica na maśle, kawa z kafetierą, kromka chleba z żółtym serem. Tyle wystarczyło, by utrzymać się przy życiu. Jadł powoli, wpatrując się przez okno. Zimowy poranek wylewał się

na podwórko jak farba rozlana po płótnie. Na dole krzątała się Wanda — sąsiadka z parteru, która rozmawiała z kotami, jakby rozumiały każde słowo. W ręku ścisnęła starą pluszową zabawkę, która służyła jej za torebkę. Po drugiej stronie podwórka trwał remont kamienicy. Świeże tynki już się łuszczyły, jakby budynek próbował je odrzucić. Robotnicy stali pod ścianą, paląc papierosy i pokazując sobie coś w telefonach.

– Bylejakość to nasza nowa tradycja — mruknął Dawid. — Ołtarze z płyty OSB i cegieł z marketu.

Nie znał się na budownictwie, ale widział wystarczająco. Wszystko, co stare i naznaczone historią, było teraz traktowane jak przeszkoda. Miasto zamieniało się w wystawę — gładką, sterylną, pozbawioną duszy.

Wanda spojrzała w górę, jakby wyczuła jego myśli. Pomachała. Dawid odpowiedział tym samym, choć bez entuzjazmu. Czasem zastanawiał się, czy naprawdę istnieje, czy jest tylko wytworem jego umysłu — jak postaci z jego snów, które potem trafiały na płótno.

Umył naczynia, przebrał się: dzinsy, koszula, bluza, stara kurtka robocza z logo FiskTech. Pracował tam od ponad roku, odkąd malowanie przestało wystarczać na czynsz. Ogłoszenie brzmiało: „Technik serwisu — prawo jazdy i nerwy ze stali”. Filozofia życia w pigułce. Nie narzekał. Przynajmniej miał za co płacić rachunki. Choć coraz częściej czuł, że rutyna wciąga go jak smoła.

Telefon zadrzżał. Wiadomość od Zosi: „Zmiana planu. Rano Dąbie, potem Pogodno. Biorę termos. :)”.

Westchnął. Zosia była jednym z niewielu jasnych punktów w jego szarym świecie. Nie dlatego, że była ładna — po prostu wciąż miała w sobie ciepło, którego Dawid już dawno nie potrafił odnaleźć.

Spojrzał w lustro. Wciąż młody? Teoretycznie. Trzydzieści dwa lata według dowodu, choć odbicie w lustrze sugerowało negocjacje. Szczupła twarz o ostrych kościach policzkowych, rzeźbionych przez lata niedojadania i zbyt wielu papierosów. Ciemne włosy — za długie, by wyglądać schludnie, za krótkie, by jakoś je okiełznać — opadały na czoło w nieładzie, który dawno przestał być świadomy. Kilkudniowy zarost, ani to broda, ani gładka skóra, raczej permanentny stan zawieszenia między decyzjami. Czyż? Szare, może zielone przy odpowiednim

światło — ale w tej chwili po prostu zmęczone. Zmęczeniem, które nie miało nic wspólnego z brakiem snu.

Miał swoje poglądy — „trochę na prawo od środka”, jak to ujął. Nie znosił tłumów — tych fizycznych i tych wirtualnych. Omijał manifestacje, unikał komentarzy pod artykułami, a na social media nie logował się od lat. Ludzie, którzy uważali, że wiedzą lepiej, budzili w nim odruch cofnięcia się o krok. Nie dlatego, że bał się konfrontacji. Po prostu nauczył się, że większość sporów to przepychanka ego, nie wymiana myśli. Lubił obserwować. Cicho, z boku, z tą ironią, którą inni mylili z obojętnością. Czasem notował coś w szkicowniku — twarz, gest, fragment zasłyszanej rozmowy. Zazwyczaj wołał milczeć. Zbyt zmęczony, by walczyć o rację. Zbyt uparty, by przyznać, że go to nie obchodzi.

Ludwig otarł się o jego nogę. To był podstęp — kot wiedział, że pora na śniadanie.

– Życie, Ludwig — mruknął Dawid. — Wstajesz, jesz, idziesz do pracy. A gdzieś po drodze gubisz sens.

W radiu grało „Money For Nothing”. Kawa w kubku ostygła. Wanda zniknęła z podwórka. A obraz na sztalugach wciąż czekał na dokończenie.

Dawid zszedł po schodach, których drewno skrzypiało jak kości starców. Kamienica na Niebuszewie miała swój charakter — szorstki, ale prawdziwy. Na klatce leżał karton z książkami: „Zabierz, co chcesz” Ktoś już zabrał poradniki o miłości i samorozwoju, zostawiając tylko „Podstawy rachunkowości” i przewodnik po lokalnej polityce.

Na zewnątrz wiatr ciągnął od Odry, zimny, wilgotny, zapowiadający zimę, która nigdy nie przychodziła nagle — tylko wkradała się po kawałku. Zosia czekała oparta o srebrne Berlingo — wóz serwisowy, który widział więcej dramatów niż niejedna izba przyjęć. Jej zielona kurtka migotała metaliczną przypinką: „Ziemia nie należy do nikogo”. W dłoniach ścisnęła termos i papierową torbę, z której sączył się zapach świeżych pączków.

– Cześć, ponuraku! — rzuciła, odśladając uśmiech tak jasny, że mógłby rozświecić szczecińskie listopady. — Mam pączki z prawdziwą różą, nie tym chemicznym syfem. Wiem, że wolisz mniej słodkie, więc po drodze znajdziemy coś dla ciebie.

Dawid sięgnął po kluczyki.

- Kawa jest?
- Czarna jak twoje myśli, ale z mlekiem sojowym. Bierz, zanim wystygnie.
- Czyli nie masz nic dla mnie — podsumował.

Wskoczyli do auta. Zosia rozsiadła się jak królowa road tripów — torba na kolanach, okulary przeciwsłoneczne na czole (choć niebo było szare jak betonowy parking), termos między udami. Berlingo zaskrzypiał, protestując, jak zawsze.

– Wiesz, że wczoraj w Sejmie znowu było rodeo? — zaczęła, zanim jeszcze ruszyli. — Stary poseł nazwał Zieloną „tęczową wiedźmą z plastiku”, a ona odgryzła mu się, że jest „dinozaurem z kredą w dupie”.

Dawid prychnął.

– Kreda w dupie? To nawet całkiem bystre.

– Ja bym ich wszystkich wysłała na obowiązkowe sprzątanie lasu. Albo przychodni. Albo klatek schodowych. Gdziekolwiek, gdzie jeszcze tli się życie.

Mówiąc to, Zosia świszczała lekko przez nos, jakby w jej płucach mieszkał morski wiatr. Dawid lubił te jej monologi — były nieobliczalne, żywiołowe, jak pogoda za oknem. Nie dało się ich przewidzieć ani zasymulować.

– Ludzie są wkurzeni, ale nikt nie przyzna się, że tak naprawdę się boi — ciągnęła. — Wkurwienie to wygodny płaszcz. Zakładasz i możesz rzucać mięsem. A strach? Strach to jak jechać autobusem nago. Nikogo nie oszukasz.

– Jestem prostym facetem. Czy ty mnie podrywasz? — zapytał, patrząc wciąż na drogę.

– Zapamiętaj ten moment — parsknęła. — Bo to najbliższy podrywu, jak dziś będziesz.

Zatrzymali się przed cukiernią — tym reliktem lat 90, gdzie plastikowa palma sąsiadowała z wyblakłym portretem papieża. Za ladą, jak zawsze, czuwała Bożenka: kobieta o głosie wędzonego oscypka i sylwetce, która sugerowała, że zna wszystkie sekrety lokalnej dzielnicy.

– Dawidek! Zosieńka! — zawyrokowała, zanim jeszcze weszli. — Znów ta kasa się zepsuła? Mówiłam, że to zły model, panie kochany, ja to czuję w kościach!

– Tylko pączki, Bożenko — uśmiechnęła się Zosia. — I może twoją najnowszą teorię spiskową. O złych duchach z telewizora? O euro?

– Euro to dopiero! — Kobieta aż pochyliła się nad ladą, jakby przekazywała tajemnicę stanu. — Wepchną nas do tego, a potem bułka po pięć euro! A kto będzie miał? Ja? Ty? Dawid za te swoje kable?

– Serwis kas, Bożenko. Ale prawie jak kable — mruknął Dawid.

Wyszli z pączkami, które parzyły dłonie przez papier. Auto znów ożyło, a Zosia wgryzła się w lukrowaną różę, jakby to był akt zemsty na słodyczach świata.

– Bożenka to ostatni bastion normalności — stwierdziła, ocierając palce o spodnie. — Jak padnie, reszta miasta wpadnie w otchłań.

Dawid nie odpowiedział. Wpatrywał się w Szczecin za szybą. Miasto przesuwало się jak slajdy z cudzego życia. Billboardy z politykami, którzy uśmiechali się jak manekiny — zęby wybielone, hasła wyblakłe od deszczu. „Razem dla przyszłości”. „Szczecin w dobrych rękach”. Ktoś już domalował jednemu wąsa, drugiemu rogi. Pod przystankiem kobieta w za dużym płaszczu próbowała złożyć wózek dziecięcy, podczas gdy autobus zamykał drzwi. Nie zdążyła. Przy krawężniku facet w garniturze krzyczał do telefonu — twarz czerwona, żyła na skroni jak sznurek. O czym? O pieniądzach, pewnie. Albo o zdradzie. W tym mieście jedno często prowadziło do drugiego.

Minęli kamienicę z oknami zabitymi płytą. Obok niej — nowy apartamentowiec. Szczecin lubił takie zestawienia: ruina obok reklamy kredytu hipotecznego, graffiti „WYPIERDALAC” tuż pod banerem „Mieszkaj z klasą”. Gdzieś w podwórku ktoś płakał. A może się śmiał. Trudno było odróżnić.

Zatrzymali się na czerwonym świetle.

– Myślisz czasem, że świat się kończy? — zapytała nagle Zosia.

Dawid powoli odwrócił głowę.

– Myślę, że może już się skończył. A my jesteśmy tymi, którzy przegapili koniec i teraz czytają epilog.

Przez chwilę milczeli. Potem Zosia sięgnęła po termos.

– Epilogi są spoko — powiedziała cicho. — Ciche. Jak niebo po burzy.

* * *

Sklep był reliktem innej epoki — z czasów, gdy Dąbie składało się jeszcze z kiosków „Ruchu” i sklepów GS-u z butelkami mleka w drewnianych